

Matnia Romana

12 listopada 2009

Żyjemy w społeczeństwie, które już nie potrzebuje sztuki ani w ogóle refleksji.

Do takiego (przykrego?) wniosku skłaniają reakcje na aresztowanie Romana Polańskiego. Co za absurd!? – zaprotestuje może rozsądny rzecznik opinii publicznej. Przecież poza głosami z marginesu nikt nie kwestionował, że Polański to reżyser – jak z właściwą sobie oryginalnością pióra zauważyła Magdalena Środa – „wielki, barwny, różnorodny”, a może nawet „genialny” (to, dla wątpliwej odmiany, epitet Agnieszki Graff). Zaznaczano tylko, że poziom „Noża w wodzie” bądź „Rosemary’s Baby” stanowi, być może, pewną okoliczność łagodzącą, lecz nie wolno, wysuwając go jako rzekomy argument, stawiać twórcy tych filmów ponad prawem.

Jak niemal wszystkie sądy obiegowe, i ten jest nieprawdziwy. Dam głowę, że gdyby Polański był przedsiębiorcą czy kupcem lub należał do „zwykłych ludzi”, których w debatach nad jego seksualną aferą przywoływano często, choć zwykle nadaremno – mniej nienawistnych głosów by go tępiło. Istnieje chwyt, pozwalający prezentować opinie stereotypowe jako niezależne. Stosując go, należy – powtarzając za większością jak za panią matką – na pokaz się od niej odcinać. Tak więc pogromca Polańskiego nabierał oddechu i ogłaszał tubalnie: wszyscy twierdzą, że artystom należy się specjalne traktowanie, a ja uważam, że wobec prawa wszyscy są równi.

Czy faktycznie chodziło tu o równość? Na Polańskiego wylało się tyle jadu, że można by nim obdzielić trudny do policzenia zbiór sprawców przestępstw poważniejszych i znacznie świeższej daty. Pewien udział – podejrzewam – ma tu słabo ukrywana irytacja, że osobnik wykonujący tak mało poważny fach, jak artystyczny, został bogaczem i postacią medialną. Niejeden głos opiniotwórczy, spóźniający się nieco za modą, każe

traktować go wyrozumiale. – „A po co?” – odkrzyknąłby chętnie konsument mediów bulwarowych. – „Niech szczezną artyści!” – mógłby dodać, gdyby ten tytuł mu coś mówił. Nie potrzebując Kantora jako źródła natchnienia, wścieka się podwójnie i potrójnie na „artychę”, który – mimo że jest „zbokiem” – o wiele za długo chodził na wolności i żył w luksusie.

Mało kto zresztą – przyznajmy od razu – zaszkodził Polańskiemu bardziej niż jego koledzy po fachu. Ci spośród nich, którzy bronili go w imię grupowej solidarności, prowokowali do pytań o powagę ich autorytetu. Test ów wypadł fatalnie. Ludzie kultury, zabierając głos publicznie, od niepamiętnych czasów kierują się busolą swych koteryjnych interesów i doprawdy niczym więcej. To oni przecież byli dworskimi pochlebcami architektów transformacji ustrojowej. O grupach przez nią „wykluczonych” czy też „pokrzywdzonych” przypomnieli sobie po swoim, to jest płytko i w nieznośnie grafomańskim stylu, gdy mleko już dawno się rozlało. A kto opowiadał bajki o „politycznym państwie PiS”? Wyplatające je Szeherezady wiedziały doskonale, że choćby PiS rządził, rozliczał i lustrował długo i szczęśliwie, ani im samym, ani ich krewnym i znajomym włos z głowy – co dopiero zaś głowa z karku – nie spadnie. Najwyżej tę czy ową środowiskową gwiazdkę zaćmiłyby przejściowo kłopoty z reputacją.

W świecie z moralną siłą twórców nie jest o wiele lepiej. Tak jak w zamierzchłych latach 70. minionego wieku stadnie koczowali oni na lewym brzegu, tak zaraz potem pogodzili się z liberalnym kapitalizmem. Wiadomo, że jeśli poprą kogoś lub przed czymś złym przestrzegą, to prawdopodobnie za ich plecami stoi sponsor propagandy wielkomocarstwowej, ewentualnie prywatne lobby. Nic więc dziwnego, że zbiorowa opinia przestała się z nimi liczyć.

Czy miałoby jednak sens robić im przesadne wyrzuty? Od dawna nie ma niezależnej i jako tako znającej się na rzeczy publiczności, która potrafiła krzywdzić Norwidów i Baudelaire’ów za życia, lecz kompensowała to entuzjastycznym

szałem dla ich dorobku ogłoszonego pośmiertnie, a na Tołstojach, Dickensach i Wiktorach Hugo poznawała się od razu. Dzisiejszy artysta jest laleczką Chuckie z taśmy maszynierii marketingowej. Jeśli menedżer go z niej strąci, żaden wrażliwy fan po nim nie zapłacze. Z dziesięć lat temu Zbigniew Herbert uchodził za w ogóle największego z poetów polskich. Teraz czytać go ani przypominać nie mają ochoty nawet krytycy, którzy tę jego wyolbrzymioną chwałę kreowali. Gustaw Herling-Grudziński był kiedyś windowany kosztem o wiele wybitniejszego artystycznego reportera z obozów koncentracyjnych, Tadeusza Borowskiego. Nieszczęściem dla siebie, pozwolił sobie na konflikt z legendarnym redaktorem paryskiej „Kultury” i mniej szacowną, lecz nadal wpływową „Gazetą Świąteczną”. Pamiętają więc o nim tylko maturzyści, którzy pod urzędowym przymusem starej daty muszą się nim zachwycać.

Szkoda, pomimo wszystko, że nawet cieniutki i niewiarygodny głosik kulturalnego Parnasu został przy okazji afery Polańskiego uciszony. Czasem zdegradowani bożkowie sztuki, nie broniąc wprowadzić niczego prócz własnych pozycji prestiżowych i dochodowych, odzywali się w słusznej sprawie. Nie podobał im się, na przykład, ustawowy pogrom mediów publicznych, który nie od dziś szykuje Platforma. Co będzie, jeśli znowu wystąpią w obronie Programu 2 Polskiego Radia albo TVP Kultura? Dziennikarze „Faktu” wrzasną, że „obrońcy pedofila” ośmielają się życzyć sobie, abyśmy utrzymywali dla nich forum i kasę z przymusowo ściąganego od nas haraczu. Oczywiście, na to nie ma zgody. Bij artychę!

W Polańskiego uderzyć tym łatwiej, że jego filmów – pominąwszy klanową grupę fanów – szerzej się właściwie nie pamięta. Bez śladu minęły czasy wyszukanych repertuarowo „Konfrontacji”. Widz telewizyjny, który rozerwie się na „Frantic” lub „Dziewiątych wrotach”, ledwie zwróci uwagę, kto je reżyserował. Seriale można oglądać latami, słabo odnotowując czołówkę ekipy, która je produkuje. Realne istnienie gwiazd jej obsady zauważa się pod warunkiem, że sensacyjne medium

doniesie, iż jednej z nich urodził się dzidzius, a samochód, który inna prowadziła na promilach, rąbnął w drzewo. Masa konsumentów wyczuwa – i tu, niestety, ma słuszość – że przeznaczona specjalnie dla niej kultura pop niewiele jest warta. Używa jej tak, jak menu z McDonalda: pochłaniając, ale nie respektując. Orientuje się coraz mgliściej, iż poza granicami popu istnieją kina z ambitniejszym repertuarem, teatry i filharmonie. I złości się, że na coś do tego stopnia niepotrzebnego wydaje się pieniądze z jej podatków. A żeby ktoś w dodatku na czymś takim zarabiał?!

Na Polańskiego, naturalnie, spadły baty nie tylko – i nie głównie – z tego powodu, że zalicza się on do pogardzanych „artychów”. Aż krępuję się napisać, że jednym ze strumyków paliwa do kampanii przeciw niemu jest antysemityzm. Od wielu lat uważałem, że problem przesądów rasowych we współczesnej Polsce został grubo wyolbrzymiony. Ostrzegające przed nim gęsi kapitollińskie (czy raczej: agorowe) hałasują na komendę, gdyż w zamian za wypełnianie tej misji są tuczone przez magików medialnych, którzy nie są w stanie utwierdzać własnych wpływów inaczej niż przyklejając etykietkę ciemnogrodu do pleców swych przeciwników. Niektóre przejawy tej fałszywej troski obywatelskiej na przemian śmieszą i brzydzą. Grupka akademickich i dziennikarskich arywistów pokazuje swoim szefom, że uczciwie zarabia na wypłacane przez nich pensje, broniąc historycznej baśniopisarki, Aliny Całej, przed groteskowo marginalną garstką ekstremistów. Tak walczy się dzisiaj z pochowanymi po kątach antysemitami: nie w obronie prześladowanych, lecz na pokaz wobec dysponentów karier.

Ale z drugiej strony, prawda bije w oczy. Zwykli, uczciwi użytkownicy klepią na forach internetowych o bezwzględną karę dla gwałciciela dziecka. Aż tu nagle spod ich (niekoniecznie) młodych palców się wyrywa, że Polański gwałcił „obrzezonym członkiem”. Trzeba czuwać, żeby „koszerni” w ostatniej chwili nie przyszli mu z pomocą. W całej okazałości widać efekty długich lat „antydiskryminacyjnego” wychowywania polskiego

społeczeństwa przez specjalistów w rodzaju wspomnianej właśnie Aliny Całej. Odbiorcy pouczeń z establishmentu, słusznie poniekąd, nie chcą się zgodzić, że naród polski miałby wręcz genetycznie być współwinny Zagładzie. Tyle pojmują z tych kwiecistych mów, że przyznawać się do niechęci wobec Żydów już nie wypada. Kpiąc z kolegów bądź osób ze świecznika, którym przypisują żydowskie pochodzenie, mówią zatem, krzywiąc się porozumiewawczo, o „Eskimosach”. Z antysemityzmem nie występuje się już na forum klasy, uczelni ani firmy. Niektórzy jednak popisują się nim pokątnie. Zaobserwowałem niedawno przezabawną scenkę, pijąc kawę w barze dla – sądząc po cenach – zwykłych ludzi. Klient z pobliskiego stolika zerwał się, żeby pogonić za Bogu ducha winnym owadem, i pokrzykiwał przy tym: dawaj Żyda! Przypuszczalnie wrócił z baru do pracy, stamtąd do domu, zajrzał na Onet.pl, dostrzegł wątek dyskusyjny o Polańskim i wystukał... kropka w kropkę to samo.

Zostawmy jednak antysemityzm, który jest – mimo wszystko – zjawiskiem reliktowym, choć żywotnym. Ważniejsza jest agresja w stosunku do „celebryty”. Nowe formy komunikacji medialnej mają tę bezcenną zaletę, iż dzięki nim nie musimy się już fatygować zapuszczaniem sond w świadomość (czy nieświadomość) zbiorową. Wszystkie jej odruchy, urazy, fobie i obsesje są bowiem widoczne jak na dłoni. Nietrudno w szczególności poobserwować, co kipi w głowach uczestników społeczeństwa nierówności. Nie wyobrażają sobie oni innej miary wartości niż pieniądze. Temu, kto, według niej, się nie sprawdza, zarzucają nieudacznictwo z jeszcze większą gorliwością niż komentatorzy „Faktu” i tygodnika „Wprost”. Przestali też reagować na wici do wojny z korupcją. Zapewne akceptują wzbogacanie się wszelkimi, w tym średnio legalnymi środkami. Sukces w oszukiwaniu przy grze o dużą pulę zasługuje – według ich milcząco ustalonej zgody powszechnej – raczej na szacunek niż wołanie o karę. Wszyscy przecież jakoś tam dorabiamy na boku, niekoniecznie troszcząc się o prawo. Szeryf Ziobro, który zaczął od rewizji u Czarzastego i Blidy, mógłby w końcu wtargnąć i do nas.

Ten samotny tłum, który ekonomiczne mechanizmy przymusu i zależności wtrąciły w totalną bierność i apatię, ożywia się już tylko na jeden sygnał. – Schwymano celebrytę! – donosi niezawodna TVN. – „0 kur...” – woła na to menedżer, pan Tomasz, wspólnie ze swymi podwładnymi, Jolą, Agatą, Pawłem i Krzyśkiem. Z przejęcia aż odstawiają puszki piwa i niedojedzony lunch. – „Czy on siedzi? – Całe szczęście, że tak, ale kumotrowie, w tym osobliwie koszernej, gotowi są go uratować. – Pędźmy więc dopilnować wymierzenia go sprawiedliwości. – Kręćmy mu... – baryton pana Tomasza miesza się z sopranem Joli – ...sznur na szyję, kręćmy”.

Do sprowokowania takiego odruchu nie trzeba afery Polańskiego. Kiedy Tomasz Stockinger, grający doktora Lubicza w anegdotycznie tandetnym serialu „Klan”, wpadł na kierowniku samochodem po pijanemu – i, na dobitkę, ucieczce z miejsca wypadku, który spowodował – setki niewidzialnych rąk zaczęły stukać. Ich wirtualny jazgot szydził, że „artycha” i „celebryta” w jednym wpadł w pułapkę. A jednocześnie się zamartwiał, iż wrogowi ludu – kto wie – uda się umknąć przed karą. Nie chcę przesadzać, ale mimo wszystko zastanawiam się całkiem poważnie, co by było, gdyby ktoś zaproponował wytwarzającym go internautom bezpłatny transport wirtualny (bo fatygować się własną „furą” i jeszcze płacić za benzynę – to jednak za wielkie poświęcenie) do aresztu, w którym przebywał Stockinger. Czy ktoś – ku pokłaskowi ogółu – nie wyciągnąłby wtedy jak najbardziej sznura?

Afera Polańskiego skłania do istotnych przewartościowań. Długo skłaniałem się do przekonania, że szereg mądrych ksiąg trzeba z szacunkiem, ale stanowczo wynieść do piwnicy. Na ich liście znajdowały się, między innymi, Fromma „Ucieczka od wolności”, tomy studiów nad „osobowością autorytarną” czy wreszcie „Kozioł ofiarny” Rene Girarda. Związki gospodarki nierówności i społeczeństwa masowego z ruchami faszystowskimi, przemocą, mową nienawiści i kampaniami szczucia na wyselekcjonowane ofiary – oceniałem – rozpoznano w nich trafnie, lecz tylko na

użytek epoki, w której te dzieła powstały. Dzisiaj tłum nie wyprowadza się na ulicę, lecz rozbija na jednostki, które następnie – mówiąc żargonem szachowym – „zapatowuje się” w czterech ścianach wynajętego mieszkania albo w miejscu do wydzielania rozrywkowych namiastek zaspokojenia. Oczywiście, nie są one w stanie wykonać tam żadnego ruchu, który dla kogokolwiek mógłby okazać się groźny. Na domiar złego dla aktualności Fromma czy Girarda, ich szlachetny niegdyś język sięgnął bruku. Przywłaszczyli go sobie ci, którym rytualnie mordowany kozioł ofiarny mylił się na propagandowe zamówienie z płatnymi współpracownikami z cieszącą się w czasach PRL zasłużenie złą sławą spółdzielnią „Długie ucho”, którzy – jak Michał Boni, Robert Mroziwicz czy ks. Michał Czajkowski – ciągle jeszcze przydawali się jakiejś wpływowej koterii. I wreszcie, wodzowie obław, którymi się straszy – by wspomnieć nieżyjącego Joerga Haidera – mają dziś format zredukowany do wymiaru dobranocki.

Stary Fromm nie pozwala się jednak zignorować. Społeczeństwo nazywane „ponowoczesnym” i „postpolitycznym” wcale aż tak bardzo się nie oddaliło od swych źródeł. Skutkiem pierwszych niepowodzeń rewolucji francuskiej, tłumy mieszkańców Paryża, ledwie się wyzwoliły od feudalnego starego ustroju, musiały ustawić się w kolejkach po chleb, którego spekulacyjne ceny rosły do niebotycznych rozmiarów. – „Nie przejmujcie się – pocieszali przywódcy – arystokratom za kratami wiedzie się jeszcze gorzej. Zamiast starego wina, do którego przywykli, muszą pić wodę”.

Co pokazowe zniszczenie celebryty zmieni na lepsze w dochodach, układach w pracy, repertuarze przyjemności i jadłospisie szarego obserwatora, który – nie mogąc się go doczekać – z podniecenia aż tupie nóżkami przy telewizorze lub komputerze? Wydaje się, iż postawienie tej kwestii – choćby w listach na Berdyczów – jest psim obowiązkiem publicystów (i naturalnie publicystek), powołujących się na idee lewicowej krytyki społecznej. Jeżeli tak naiwnie myślicie, zajrzyjcie na

stronę „Krytyki Politycznej” lub na „Feminotekę”. Tam o Polańskim częstokroć pisze się mało co lepszym stylem od pismaków wiadomej rzeszy, którzy radośnie powiadamiali swych czytelników, że celebryta Tomasz Mann nie będzie już mógł korzystać ze swej willi nad Bałtykiem.

Zaraz... Mann był rzecznikiem oporu wobec ekstremum politycznego zła. Polański natomiast – jak by wysoko nie cenić niektórych jego filmów (bo wszystkich się nie da) – popełnił przestępstwo niemałego kalibru. Znowu przychodzi pora na książki leżakujące w piwnicy. Najbardziej przyda się tutaj „Kriminalitaet und seksualitaet” Karla Krausa. Gdzie przesady i tabu seksualne w społeczeństwie, którego telewizja nie da swoim widzom zjeść kolacji bez powiadamiania ich, jak „poprawić swoją męskość” i jakiego tamponu używać w okresowej potrzebie? A jednak widma wywoływane przez seks jakimś cudem przetrwały. Wrogości wobec obyczajowych mniejszości przytrafiło się to samo, co antysemityzmowi: już się jej wprost nie wypowiada. Czasem tylko, mijając młodzieżową grupkę, na którą – sądząc z wieku – składają się sami wychowankowie ery tolerancji i świadomej akceptacji, słyszy się słowo „gej”, używane jako szydercze przezwisko. Dzieje się tak nie mimo, lecz właśnie w pośrednim efekcie Pimkowskiego belfrowania o gejach jako o soli nowoczesnej ziemi. Wszystkie chyba tłumione i przez to zdegenerowane energie seksualnego libido skupiają się dzisiaj wokół dzieci.

Tylko spokojnie: ja też wiem, że dzieci nie wolno gwałcić ani molestować. Tak kara, jak prewencja wobec występku powinny jednak równać się wyrządzanemu przezeń realnemu złu. Nie ulegając szantażowi autorytatywnych sądów, trudno nie przyznać, że Polański nikogo nie zgwałcił ani nie zniewolił łagodniejszymi środkami do uprawiania z nim seksu. Co najwyżej stał się główną postacią epizodu (przyznam, że dalekiego od wzbudzania poklasku i podziwu dla twórcy „Chinatown”) z obyczajowej historii Hollywood. Artyści, na przekór Freudowi, nigdy nie sublimowali swoich popędów seksualnych w

nieszkodliwe społecznie fantazje literackie czy malarskie. Przeciwnie, ich psychiczne skoncentrowanie na twórczości powodowało, że w swoich zachowaniach popędowych w świecie realnym często okazywali się niezdolni do samokontroli w imię norm moralnych lub nawet instynktu przetrwania. Dlatego Michał Anioł, Mozart, Baudelaire, Dostojewski, Picasso wraz legionami innych arcy mistrzów sztuki nie uniknęli, odnajdujących pewne zaczepienie w faktach, oskarżeń o erotomańskie dewiacje, które miały wzbudzać do nich antypatię lub kompromitować przez swą śmieszność. XIX-wiecznego artystę trudno wręcz sobie wyobrazić poza specyficznym półświatkiem seksualnym tamtej epoki – z jego sutenerami, burdelowymi matronami i oczywiście prostytutkami. W miarę postępów wyzwolenia obyczajowego, społecznie cenzurowane popędy uległy jednak swego rodzaju normalizacji. W twierdzy przemysłu filmowego, otwieranie im tamy jest właściwie częścią rutyny. Biorąc pod uwagę, w jakim kieracie starań o fundusze na film, aktorów bez kontraktu na wyłączność u konkurencji, reklamę i dystrybucję żyją reżyserzy otoczeni (nie wiadomo, czy uzasadnioną) zazdrością, można to przynajmniej zrozumieć.

Gdzie popyt, tam i podaż. Chętnych do niekoniecznie dozwolonych zaspokojień otaczają gotowi, żeby je – nie bez oczekiwanej korzyści – spełniać. Sapienti sat. Rzecz jasna, byłaby tu potrzebna pewna gradacja. Gdyby dorosły aktor, który wcześniej zabiegał o role, nie stroniąc od intymnych kontaktów z menedżerkami, od których wiele zależy (patriarchalni tradycjonałisci niech tu wymienią zaimki „genderowe”), obudził się nagle z krzykiem, iż poddawano go przemocy seksualnej, byłby po prostu śmieszny. Co innego 13-latek, której roił się debiut wśród fotomodelek. Do willi Jacka Nicholsona trafiła najmniej za wiedzą i zgodą, jeśli nie na polecenie opiekunów, którzy – można iść o zakład – obracali się w branży filmowej. Szkoda, że los nie ustrzegł jej przed takimi wychowawcami, którzy zapewne wpłynęli na nią bardziej destruktywnie niż Polański. Nie ma jednak usług bez zamówień. Polański pozostałby moim idolem – jakim jest od momentu, gdy jako

bodajże (nomen omen) 13-latek obejrzałem po raz pierwszy „Chinatown” – również za swoje życie prywatne, gdyby od Nicholsona wyszedł w porę. Albo – jeszcze lepiej – spotykał się z nim jedynie na planie filmowym, gdzie odtwórca Dżokera był wielki niemal zawsze. A jako gospodarz sex-parties, niestety, okazał się raczej żałosny.

Na marginesie: pomyślmy, jak odebrano by rozważania wokół obyczajowych błędów i wypaczeń Hollywoodu bez kontekstu osławionej afery. Ich autorowi poradzono by najpewniej schronienie się z nimi w niszy dla fundamentalistów religijnych, skrajnych narodowców bądź rojalistów. Przecież zapóźnionych moralistów, wyrywających się z niechęcią do pornografii, od dawna zsyła się bez ceremonii w Rydzyski klimat.

Wychodzi na jaw, że współcześnie Sodoma i Gomora w jednym stoją domu ze starotestamentową Jerozolimą i kalwińską Genewą. Porno, również drastyczne, stręczy się z Internetu, wypożyczalniach nośników z filmami i tradycyjnych punktów prasowych. Ale zarazem wyrażenie „stosunek analny” (choć trudno bardziej naturalną i przy tym skuteczną metodę zapobiegania ciąży) budzi sakralny omalże popłoch. Przerazającą rewelacją staje się wiadomość, że uprawianiu seksu mogły towarzyszyć alkohol i miękkie narkotyki. Kategorią gwałconego czy molestowanego „dziecka” miota się jak klątwą. Nie mam pojęcia, na jakim podłożu psychicznym pasożytuje ten zabieg. Może rodzice, którzy przeczuwają, że mimo najlepszej woli nie zapewnią bezpieczeństwa ekonomicznego swoim dzieciom, wołają, żeby ich pociechy były chronione chociaż przez policjantów i katów, którzy przecież nie rozwiążą problemów socjalnie degradowanych rodzin?

O ile jednak dzieci – powtórzmy wcześniejsze, Krausowskie z ducha sformułowanie – winno się chronić przed realnie im wyrządzanymi czy tylko grożącymi krzywdami, to nie wolno udzielić zgody na używanie ich jako pretekstu do medialnego terroru. Ani – na skrzykiwanie się stowarzyszeń mścicieli,

podobnych tym, które w średniowiecznych Niemczech siały grozę pod imieniem „Wehmgerichtów”.

W sprawie Polańskiego zarysował się niezwykle sojusz ekstremów. Jednym głosem – a już w każdym razie z identycznymi wnioskami – przemówili a propos niej Magdalena Środa i Rafał Ziemkiewicz. Nic tu jakoś nie przeszkadza, że ten ostatni słynie jako demaskator „michnikowszczyzny”, a ta druga – jako koryfeuszka tępionej przez niego formacji. „Krytyka Polityczna” zlała się w wyższą (dialektyczną?) jedność z „Froncą”. Na pierwszy rzut oka, łatwiej zrozumieć Ziemkiewicza i jego obóz. Rewolucja konserwatywna nie wypaliła ani w Polsce, ani w swoim amerykańskim mateczniku. Pozostaje więc maskować poniesioną klęskę, wołając o popisową egzekucję szczątkowych zakazów i tabu. A Polański to w dodatku „lewak”, który nie uszanował Ameryki, mimo udzielonej mu przez nią gościny, bo przecież ją niepochlebnie odmalował w „Chinatown”. I – o zgrozo – w niezbyt zresztą udanej „Śmierci i dziewczynie” oszkalował mesjasza chilijskiego cudu gospodarczego, to jest wielkiego generała Augusto Pinocheta Ugarte.

Czemu jednak apostołki (gdyż to je przede wszystkim, nie zaś apostołów słychać) emancypacji obyczajowej zamieniają się w erynie ponurej mściwości? Wkrótce po roku 1968, wydawało się, iż pedofilów ułaskawi się razem z przedstawicielami innych wyklętych przez stulecia mniejszości, co do których – jak w przypadku homoseksualistów – wszyscy już się zgadzają, że nie stanowią one społecznego zagrożenia. Ajatollah paryskich rewolucjonistów (faktycznie zakochał się w Chomeinim i prowadził kampanię reklamową na jego rzecz, więc ta ironiczna szpila jest na miejscu), Michel Foucault pytał, w czym gwałt jest gorszy od spoliczkowania. Pomijając archaiczną demonizację organów seksualnych – twierdził – natężenie i dotkliwość przemocy są tu i tam mniej więcej identycznie. Ale już po dekadzie, za te niewczesne rozważania wychłostał go publicznie kolejny imam koncesjonowanych radykałów, Terry

Eagleton.

Wczorajsi antysystemowi buntownicy, podejmując osławiony długi marsz przez instytucje, musieli oczyścić go z niechętnie widzianych skrajności. Trzeba więc było się wyprzeć przechwałek Daniela Cohn-Bendita, który ewidentnie był z siebie dumny, wyznając w swoich wspomnieniach, że świadomie rozbudzał seksualnie jego podopiecznych z przedszkola. Pedofil, którym wszyscy gardzą i się go obawiają, doskonale nadawał się na „ekstremum” do wyklęcia. Oswojeni radykałowie zgodzili się go potępiać i ścigać wspólnie z rozsądnym centrum.

Do tych taktycznych względów dołączyły się bardziej zasadnicze kalkulacje z porządku dyskursywnej gry o władzę, którą strażnicy rewolucji roku 1968 obwołują swoim głównym zadaniem. Zamiast przekonywać – uczył już klasyk z Florencji – lepiej budzić strach. Od Nietzschego, czytając jego demaskacje jako zalecenia, można z kolei nauczyć się, iż najlepiej zabiegać o władzę, udając męczennika. A przynajmniej – mściciela krwi męczeńsko przelanej. Z tej fali rewolucyjnej do nas przy płynęła mętna piana.

Pies z kulawą nogą nie protestowałby przeciw postulatowi skuteczniejszej niż dotąd ochrony dzieci przed niewczesnymi zalotami dojrzałych, a zwłaszcza przejrzałych pań i panów. Nikomu też nie przeszkadzałyby starania o pełne ujawnianie i (utrzymane w rozsądnych granicach) represjonowanie aktów przemocy seksualnej. To jednak nie wystarczy Napoleonom z dyskursywno-politykierskich klubów. Oni muszą siać grozę, roztaczając wizję wszechobecnego zła. Według ich psychopatycznych z pozoru, a w istocie trzeźwo spreparowanych fantazmatów, każda rodzina jest siedliskiem gwałtu (małżeńskiego, pedofilskiego i diabeł jeszcze wie jakiego). Jeżeli znajdzie się sceptyk, który te dane podważy, oskarży się, iż „kwestionuje świadectwo ofiar”. A to już wiadomo, czym pachnie – wizytą pod pręgierzem w towarzystwie Irvinga, Faurissona i pozostałych negacjonistów Holocaustu.

Co daje ta kryptototalitarna paranoja? Przestrach, który – o czym nieodłącznie wiedział już Ajschylos – nieodłącznie wlecze się za władzą. Dla przykładu, mężczyzna o bardziej konserwatywnych zapatrywaniach musi się teraz obawiać etykiety już nie tylko „mizogina”, lecz również sprawcy (a na pewno chwalcy) molestowania seksualnego.

Oczami duszy widziałem już nadejście Wielkiego Inkwizytora, czy raczej szeregu małych inkwizytorów. Byli oni ubrani w tradycyjne habity, spod których wyglądały jednak T-shirty z Che Guevarą. W jednym ręku nieśli transparenty z napisem „Jude raus!”, w drugim – sztandary z wezwaniem „Dołój gramotnych”.

Sen mara, Bóg wiara. Orwell zauważył już dawno, że konserwatyści wymarli. Są tylko liberałowie, którzy udają konserwatystów. Typowym okazem tego gatunku jest właśnie Rafał Ziemkiewicz. Patrząc z drugiego bieguna, nie ma już ludzi lewicy. Wyparli ich liberałowie, którzy na lewicowość pozuja. W tym polu należy zaklasyfikować Magdalenę Środę oraz jej bardziej radykalne akolity, którym za wspólne forum służy „Feminoteka”. Nie będzie nas męczył inkwizytor, lecz tylko przebieraniec.

O tę demaskację łatwo, dość na nią trochę światła. Nieco trudniej ustalić, dlaczego główny nurt medialnego dyskursu otworzył się na pogromowe apele przeciw Polańskiemu. Co szkodziło zepchnąć je do rubryk osobliwości, gdzie czasami drukuje się np. wywiady z Bolesławem Tejkowskim? Otóż „mainstream” postanowił prawdopodobnie wyzbyć się szczątków myśli, którą od czasu do czasu w nim jeszcze pokutowała. Dlatego tolerowano w nim określanie Polańskiego jako pedofila. A przecież nietrudno się doksztąpić, czym różni się seksualny pociąg do dzieci oraz, z drugiej strony, do chłopców i dziewcząt, u których ujawniły się oznaki fizjologicznego dojrzewania. O tej różnicy, prócz naukowców, sporo mieli do powiedzenia Marcel Proust i Władimir Nabokov. Ale przecież artychom-celebrytom z naszego państwa wara.

Prawo karne jednego z amerykańskich stanów potraktowano zarazem czołobitnie i bezdusznie. Jeśli Polański zasłużył na karę, to w pewnym sensie już ją poniósł (trwała skaza na reputacji plus konieczność unikania ekstradycji – to przecież nie przelewki). Oczywiście, nie wegetował on w nędzy ani w poniżeniu. Ale jakie zło usunie – jakiemu zapobiegnie – poniewieranie po kilku dekadach bez mała osiemdziesięciolatkiem? Dlaczego każdy stosunek z nieletnią ma być klasyfikowany – i odpowiednio karany – jako gwałt? Kraus nagromadził multum dowodów, że w stosunkowo wolnościowych Austro-Węgrzech prawo odnoszące się do seksu było refleksem przesądów starszej i świeższej daty. A tak spreparowanymi kodeksami łatwo przychodziło manipulować w imię partykularnych interesów czy zwyczajnych obsesji.

Ale Kraus był człowiekiem refleksji. Zamiast niego, mamy lewicowców, którzy (infantylnie i debilnie) porównywali Stany Zjednoczone za kadencji Busha do III Rzeszy, a teraz – kiedy na jego czele stoi laureat pokojowego Nobla – bezkrytycznie uważają je za demokratyczne państwo prawa. Gdyby istniało ono w Ameryce, nie dochodziłoby do mętnych transakcji sędziów ze stronami procesowymi, które w dodatku są często łamane. Qui pro quo tego typu, jak się zdaje, dokuczyło przed trzydziestu laty i Polańskiemu.

„Środzie w środę” dzielnie sekunduje Ziemkiewicz w „Rzepie”. Brak u nich śladu bardziej złożonego poglądu czy chociaż zwrotu (po co plagiatować anglosaskich „celebrytów”, skoro mamy rodzimych „prominentów”, „magnatów” czy „karmazynów?”). Komu głosy tego typu, przypominające chrzęst i klekotanie zdefektowanych automatów, potrzebne są do szczęścia? Aktualną misją dyskursu publicznego wydaje się otóż produkowanie, po pierwsze, namiastek zaspokojenia. Stąd też biorą się kampanie przeciw pojedynczym celebrytom, którym w żadnym punkcie nie podważają całościowej struktury nierówności. Przeciwnie, nawet ją umacniają. Idąc dalej, należy wytwarzać maksimum chaosu, któremu w tle powinien towarzyszyć strach. Niech adresat tej

mieszanki wie, że będzie zerem, jeśli okaże się mało pociągający dla koleżanek z pracy. Ale też niech się trzęsie, że – gdy odważy się wobec któregoś z nich na próbę pieszczoty – łupnie się w niego paragrafem o molestowaniu seksualnym.

Kontrolowany obłęd, o którym wyżej, chciałbym zobaczyć na filmie Romana Polańskiego. Tego sprzed lat trzydziestu, bo później jego twórczość się skomercjalizowała, a pazur stępił. – „Dziwisz się temu, co tu się dzieje?” – tłumaczyłby wtajemniczony stary wyga zaszokowanemu młodszemu koledze. – „To standard polskiego (i globalnego) wielkomiejskiego getta. »It's Chinatown 2«”.

Autor: Jacek Zychowicz

Źródło: [Obywatel](#)